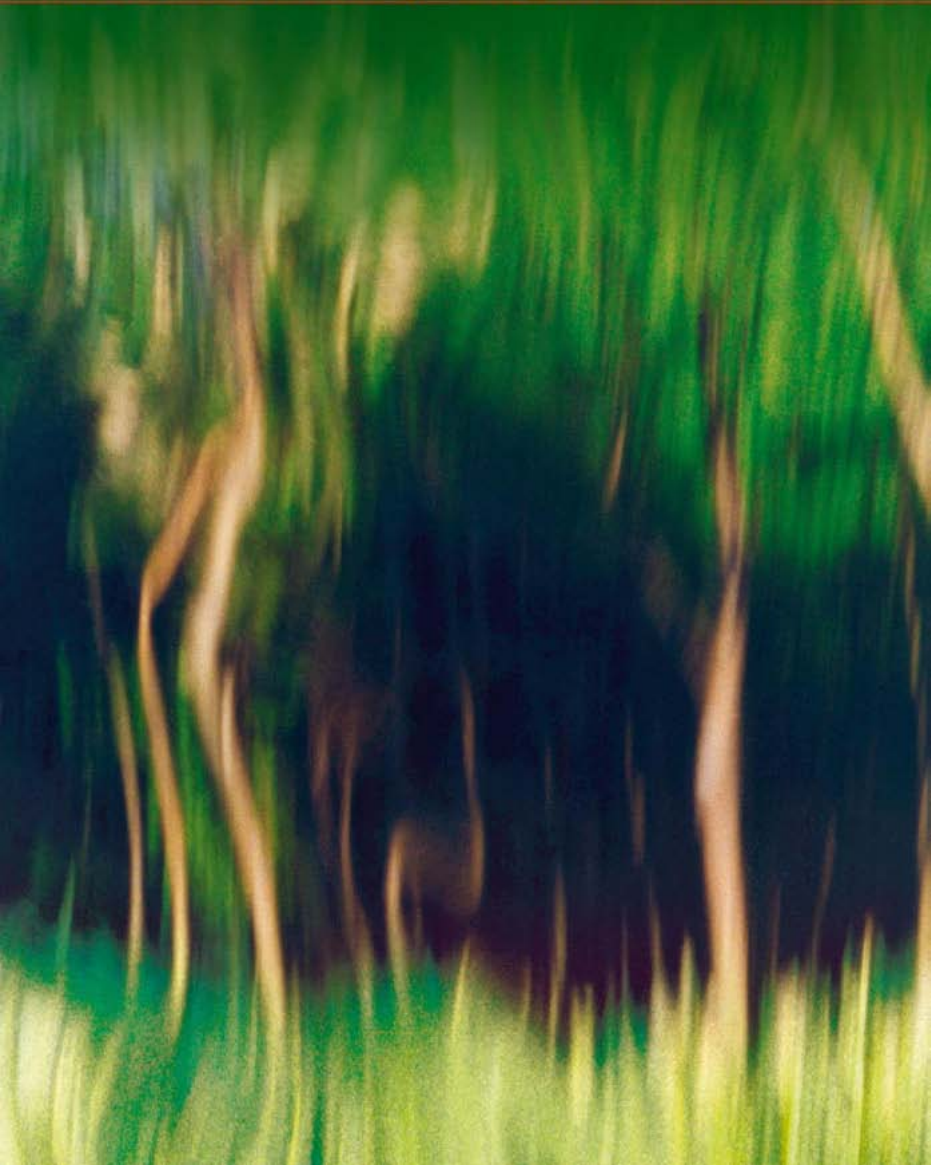


. . . archipelagi . . .

Mariusz Grzebalski

Człowiek, który biegnie przez las



. . . w serii ukazały się . . .

Dawid Bienkowski *Nic*
Adam Czerniawski *Narracje ormiańskie*
Ida Fink *Odpywający ogród*
Ida Fink *Podróż*
Manuela Gretkowska *My zdies' emigranty*
Manuela Gretkowska *Kabaret metafizyczny*
Manuela Gretkowska *Tarot paryski*
Manuela Gretkowska *Podręcznik do ludzi*
Manuela Gretkowska *Namiętnik*
Henryk Grynberg *Drohobycz, Drohobycz*
Radosław Kobierski *Harar*
Włodzimierz Kowalewski *Światło i lęk*
Wojciech Kuczok *Gnój*
Wojciech Kuczok *Opowieści przebrane*
Wojciech Kuczok *Widmokrąg*
Krystian Lupa *Labirynt*
Krystian Lupa *Podglądania*
Marian Marzyński *Sennik polsko-żydowski*
Włodzimierz Pawluczuk *Judasz*
Janusz Rudnicki *Mój Wehrmacht*
Sławomir Shuty *Cukier w normie z ekstrabonusem*
Sławomir Shuty *Zwał*
Piotr Siemion *Finimondo*
Mariusz Sieniewicz *Czwarte niebo*
Mariusz Sieniewicz *Żydówkę nie obsługujemy*
Marek Soból *Mojry*
Jerzy Sosnowski *Wielościąg*
Jerzy Sosnowski *Prąd zatokowy*
Magdalena Tulli *W czerwieni*
Magdalena Tulli *Sny i kamienie*
Magdalena Tulli *Tryby*
Magdalena Tulli *Skaza*

. . . a r c h i p e l a g i . . .

Mariusz Grzebalski

Człowiek, który biegnie przez las

Dni

Po co są dni?

Philip Larkin

No i w którymś momencie, po czterech albo pięciu miesiącach niewidzenia się i niesłyszenia, po czterech lub pięciu miesiącach całkowitej ciszy w eterze, usłyszałem jego głos w słuchawce mojej komórki:

– Jak tam, miałeś dzwonić, jak zwykle nie zadzwoniłeś, więc dzwonię ja, inaczej nigdy się nie spotkamy! Mam butelkę rakii, którą z moim Kochaniem przywieźliśmy z Chorwacji, moje Kochanie pojechało do matki i powiedziało, że jeśli chcę się napić, to z tobą, więc weź dupę w troki i w końcu przyjeźdź!

Ponieważ cieszę mnie takie propozycje, płynące wprost z przestronnego polskiego serca, ponieważ lubię Huberta i rakiję, odpowiedziałem:

– Jasne, przyjadę. Co przywieźć?

Hubert powiedział, że nie mam niczego przywozić, że wszystko, co trzeba, ma, że butelka rakii jest duża, że ma też marynowane kurki i sok i zależy mu jedynie na tym, żebyśmy się wreszcie spotkali, nie na tym, żebym cokolwiek ze sobą przywoził.

Dlatego kończyłem, jak tylko mogłem najszybciej, półroczne raporty, ustawiałem w rzędy liczby dotyczące tego, co przez ostatnie sześć miesięcy zrobiłem dobrego dla mojego padrone. Sumowałem, ile mi się za tę dobroć należy, potem sprawdzałem te wszystkie rzędy liczb, raz i drugi, potem znów od początku, aż w końcu mogłem opuścić firmę.

Raport wrzuciłem do koperty i zostawiłem portierowi, żeby przekazał go gońcowi, który miał się zjawić w biurze o osiemnastej. W barze U Wilka zjadłem obiad, ale nie dlatego, że byłem głodny, tylko po to, żeby nie rzucać się na rakiję jak młokos, z pustym żołądkiem. Chwilę później byłem w tramwaju, a potem w autobusie wiozącym mnie do Huberta przez tonący w słońcu Poznań.

Kiedy zadzwoniłem przez domofon, Hubert odezwał się w swoim stylu:

– No, kurde, już myślałem, że się rozmyśliłeś i znikniesz mi gdzieś po drodze! Zaczekaj, zaraz zejdę ci otworzyć, bo coś się jebie w tym domofonie.

I faktycznie, zaraz był na dole, prezentując swoją wyszczerbioną jedynekę, a także chudy grzbiet intelektualisty, który za nic ma wygląd i manieri przypisane jego kaście. Razem z nim witał mnie jego okropny, to znaczy okropny moim zdaniem, basset. Basset, którego nie lubię, ale ja w ogóle nie lubię psów, a tego szczególnie, bo kiedy mnie wita, w po-

łowie zostaje na moim ubraniu w postaci kłaków i potem muszę te kłaki zbierać z siebie przez resztę dnia.

Kiedy usiedliśmy przy stoliku, kiedy Hubert postawił przede mną litrową rakiję, salaterkę z marynowanymi kurkami, dwa widelce, kiedy uśmiechał się do mnie, raz za razem pokazując wyszczerbioną jędynkę, kiedy mówił o sobie, o tym, co przeżył w ciągu ostatnich czterech miesięcy, co w tym czasie przeczytał, co usłyszał od ludzi – wtedy poczułem się jak w jakimś przejściowym niebie, które znam z prenatalnego snu. Że gdzieś we mnie rozlewa się ciepły potok poczucia bezpieczeństwa, który wkrótce zmieni się w szeroką rzekę. Potok poczucia bezpieczeństwa, którego nie rozumiem i zupełnie nie potrafię dopasować do sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy.

Ale najdziwniejsze było to, że Hubert bez przerwy mówił, a mnie wystarczyło siedzenie, widok mówiącego Huberta, widok zgromadzonego na stole sprzętu, jak również widok ostatnich promieni słonecznych, przekradających się przez żaluzje w oknach dużego pokoju jego mieszkania, od strony lotniska na ławicy, z którego tyle razy startował „Bubi” Hartmann, zestrzeliwując potem kolejnych Rosjan, o czym po wielekroć informowałem Huberta, a on zawsze grzecznie mi przytakiwał, choć tak naprawdę Hartmann i jego wyczyny wiszą mu koło wentla jak kilo kitu.

To dziwne, ale nie pamiętam, kiedy się pozna-
liśmy. Pamiętam tylko, że Hubert był wtedy chudy jak
szczapa i nosił czerwony podkoszulek bez rękawów
i że ten podkoszulek miał centymetrowe jasnobłękit-
ne obramowanie, i że Hubert mówił wtedy równie
dużo, jak mówi teraz – po dziesięciu czy jedenastu
latach od momentu, kiedy pierwszy raz zobaczyłem
go w tym czerwonym z niebieskim obramowaniem
podkoszulku.

Nie pamiętam, kiedy go poznałem, przypomi-
nam sobie tylko, że było to tuż przed inauguracją
albo zaraz po wstępnych. Ale nie, nie pamiętam go
z egzaminów, z egzaminów pamiętam głównie Jan-
czyszyna, który przyjechał na nie prosto z ORP Orzeł,
zakotwiczony na redzie portu wojennego w Gdyni.
Janczyszyna, który na egzaminach był tak zmordo-
wany podróżą, że w trakcie pisemnego z ojczystego
zasnął i trzeba go było budzić szarpaniem za rękaw
jego białej marynarskiej bluzy.

Huberta pamiętam raczej z praktyk w zakła-
dach metalurgicznych Pomet. Tak, z praktyk, do któ-
rych trafiliśmy jako przyszli studenci filozofii, bo
gdzie, jak nie do Pometu, mogli trafić przyszli stu-
denci filozofii?

Podczas praktyk pierwszy raz napatoczyliśmy
się na siebie przy rozdzielaniu miejsc pracy, tego,
gdzie kto będzie przez następne pięć tygodni praco-
wać i co będzie robić. Staliśmy całą grupą, dwudzie-

stu chłopca, przy piecach do wytopu surówki, przyszedł do nas majster i zdecydował:

– Ty tu, ty tam, oni tam, reszta hołoty za mną!

Nie było, że się nie chce, że zawroty głowy – socjalistyczna ojczyzna potrzebowała studenckich rąk do pracy. Inne ręce były do pracy w Pomecie bardziej niż zniechęcone, czemu nie ma się co dziwić. Stali pracownicy Pometu mówili o swojej firmie zdania niepozostawiające większych złudzeń co do jej faktycznej kondycji, na przykład, że najpierw jest dziura w dupie, dopiero potem daleko, daleko za nią – Pomet. Tyle, żeby poprzestać na pierwszym z brzegu eufemizmie.

W trakcie przydziału miejsc pracy Hubert tłumaczył majstrowi, że jest głuchy na jedno ucho, bo kiedy trenował wioślarstwo, poślizgnął się i uderzył głową o pomost. Jego głuchotę potwierdził na piśmie lekarz zakładowy Pometu. Ale majster tylko się zaśmiał, spojrzął na papier i powiedział:

– To to ty sobie, chłopcze, wsadź!

I zaraz skierował Huberta do pracy przy wielkim magnesie. Hubert był tam zupełnie niepotrzebny, ale właśnie tam w całym Pomecie najbardziej huczało, więc majster uznał, że to najlepsze miejsce, żeby Huberta utemperować. Utemperować po to, żeby następnym razem, gdziekolwiek to będzie i jakkolwiek rządziłby tam majster, nie startował na

dzień dobry z dziwacznymi zaświadczeniami o głuchocie, tylko żeby ze śpiewem na ustach brał się do roboty.

Hubert zrozumiał. Stał na kupie złomu, pod magnesem wielkim jak latający talerz, co jakiś czas, kiedy magnes przenosił kolejną porcję złomu do kadzi służącej do wytopu surówki, przeżywał katharsis – i rozumiał. Diagnoza majstra była lepsza niż diagnoza lekarza. Majster lepiej niż lekarz znał swój zakład i lepiej wiedział, gdzie Hubert się przyda, z uchem czy bez.

Tak więc Hubert stał pod wielkim magnesem i wszystko słyszał! Słyszał tak dobrze, jak jeszcze nigdy w życiu. Ale ponieważ po trzech dniach słyszał ten cholerny magnes także po wyjściu z Pometu, a nawet we śnie, olał swój przydział i nie pytając nikogo o zgodę, przeniósł się do odlewni. Do odlewni, czyli do mnie.

W odlewni było przyjemnie, o ile może być przyjemnie w jakiegokolwiek odlewni czy w którymkolwiek z oddziałów jakiegokolwiek huty w jakimkolwiek kraju na świecie. Średnia temperatura wynosiła tam około czterdziestu stopni Celsjusza, przy garze było tych stopni pięćdziesiąt z hakiem. Gar była to półtonowa kadź z płynną stalą, która co kilkanaście minut nadjeżdżała nad nasze głowy, przyciągana przez suwnicę. Zawartość gara trzeba było szybko rozlać do mniejszych garów, które podjeżdżały pod

tę kadź od spodu, jeden po drugim, umocowane na czymś w rodzaju pasa transmisyjnego. Służyły one do zalewania form kół wagonów kolejowych, wykorzystywanych potem przez wszechpolskie koleje państwowe.

Była to o tyle dobra praca, że szybko się zaczynała, i ani się człowiek spostrzegł, już się kończyła. Zaczynaliśmy punkt szósta, my – to znaczy przyszli studenci filozofii i żołnierze z karnej kompanii we Wrześni. Robotnicy zjawiali się o siódmej, chyba że poprzedniego dnia upili się do nieprzytomności albo po prostu nie chciało im się wstać. Wtedy przychodzili o w pół do ósmej albo i później. Ledwie zaczęliśmy, a już była dwunasta i przerwa obiadowa, czyli kwadrans przeznaczony na to, żeby zjeść dwie pajdy chleba z tłustym boczkiem albo słoniną i popić je równie tłustym mlekiem z butelki po wodzie mineralnej.

Potem w huku, pyle i bijącym zewsząd żarze mijała godzina z okładem albo kilka (jeśli trzeba było robić nadliczbówki), i już był fajrant, zdejmowanie okutych butów, drelichów, spodni i koszul z flaneli, które dawno utraciły swoją naturalną miękkość, kąpiel pod prysznicem, skok przez płot – mieliśmy wszystko z głowy.

Ilekróć myślę o Pomecie, odnoszę wrażenie, że robotnicy z tej fabryki nie mieli nic wspólnego z bohaterami naszych jakże licznych przełomów, że

żaden z nich nie miał nic wspólnego z Birkutem czy Wałęsą. Żaden z nich nie wstawił się niczym szczególnym poza kradzieżą, upiciem się w pracy albo poza pracą, obiciem po twarzy kumpla, niczym szczególnym poza groźbą w stylu:

– Te, student, wpierdolić cię do kotła?

Robotnicy z odlewni przychodzili do pracy zawsze mocno spóźnieni, zawsze pijani, niezależnie od tego, czy była to dniówka, popołudniówka czy nocka. Zawsze sztorcowali nas, że jeszcze nie posprzątałyśmy po poprzedniej zmianie, potem dokładnie czyścili swoje narzędzia, jakby zajmowali się w Pomocie mechaniką precyzyjną, nie zaś zalewaniem form kół wagonowych, wykorzystywanych przez wszechpolskie koleje państwowe. Dopiero wtedy zaczynała się właściwa praca, która wcześniej nie mogła się zacząć, bo robotnicy z oddziału pieców też nigdy nie przychodzili punktualnie. Do dziś nie mogę zrozumieć, kto między zmianami utrzymywał te wszystkie piece pod ogniem.

Kiedy praca koniec końców się zaczynała, robotnicy próbowali dyrygować oddaną pod ich batutę orkiestrą przyszlých studentów filozofii i żołnierzy z karnej kompanii we Wrześni. A kiedy zmęczeni się dyrygowaniem, tą strasznie męczącą robotą, jaką jest dyrygowanie innymi, jeden z nich udawał się po wodę mineralną, drugi szedł, gdzie go oczy poniosły, a inni patrzyli, czy dobrze nam idzie, czy nam

idzie w odpowiednim rytmie i z należytą szybkością. Patrzyli, aż w końcu zmęczeni patrzeniem zasypiali snem sprawiedliwych, gdzie który siedział albo leżał. W ten właśnie sposób „nasi” robotnicy dopływali do tak odległego, zdawałoby się, brzegu przerwy obiadowej.

Zaraz po przerwie któryś z nich wykonywał desant na monopolowy mieszczący się za bramą Pometu, gdzie kupował wina marki Wino, przynosił je na odlewnię, robotnicy pili je, zapewne w trosce o to, żeby obiad dobrze ułożył im się w żołądkach, ale zwykle udawało im się przedobrzyć – do tego stopnia, że rzygali tym obiadem gdzie popadło, pod nogi swoje i innych, jakby chcieli się nim nieudolnie podzielić. Potem siadali z boku, patrzyli na nas spode łba i darli się w niezrozumiałym narzeczu, ale siedzieli niepewnie, rozchwiani jak na pokładzie okrętu walczącego z rozszalałym żywiołem fal, nie zaś na spokojnej, usłanej popiołami i piachem betonowej podłodze zakładów metalurgicznych Pomet.

Wyjątkiem był gość od pieców, z racji urody przezywany Cyganem, do którego trafiliśmy trzy albo cztery razy, kiedy coś nawaliło. Najczęściej była to suwnica, bo wtedy na odlewni się nie pracowało, wszyscy rozłazili się po kątach niby insekty – dziesiątki ludzi, jakby Pomet miał pod sobą niekończące się katakumby.

Cygan był przystojnym, zawadiacko uśmiechniętym gościem o ciemnej karnacji, nawet w jednej piątej nie tak sfrustrowanym, jak reszta pometowców. Mieszkał na Chrobrego, więc szybko dogadaliśmy się, jak to ludzie z jednego osiedla, którzy znają to osiedle od początku. Ja mieszkałem w piętnastce, on w dwudziestce, czyli w blokach, które zbudowano na samym początku, zanim jeszcze Chrobrego stało się osiedlem i kiedy na dobrą sprawę była to jeszcze wieś Piątkowo.

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych mieszkać na Chrobrego to było coś, bloków stało niewiele – wszyscy trzymali sztamę. Teraz powiedzieć, że jesteś z Chrobrego, to tak jak przyznać się, że chcesz doprowadzić komuś brykę, zwinąć portfel albo wymusić na nim haracz, o ile kręci jakiś interes. Ale teraz kręcić interes na Chrobrego mogą wyłącznie ludzie lubiący działać na własną szkodę.

Jeśli nadarzyła się okazja, Cygan brał Huberta i mnie pod opiekę, co wychodziło nam na dobre, bo jakkolwiek w chaosie, którym był Pomet, nikomu nie chciało się pracować, to jednak studenci i żołnierze z karnej kompanii we Wrześni pracować musieli, czy im się to podobało, czy nie.

My jednak, zamiast zwałać piach z wagonów albo sprzątać za kogoś, komu nie chciało się zwałać piachu z wagonów ani sprzątać, kładliśmy się na drewnianych ławkach u Cygana, gdzie popijając mi-

neralną, słuchaliśmy Trójki albo uderzaliśmy w kimo-
no. Cygan niewiele z nami rozmawiał. Patrzył na nas
tylko i śmiał się, kiedy na zadane po raz enty pytanie
o nasz przyszły zawód otrzymywał niezmiennie tę
samą odpowiedź:

– Filozof...

Był to uśmiech w połowie niedowierzania,
w połowie politowania.

W odróżnieniu od Cygana „nasi” robotnicy
ani przez moment nie udawali przyjaznego do nas
nastawienia. Ich malkontenctwo, wrzaskliwość
i chamstwo były nie do przebicia. A że pytania
w stylu: „Te, studenciaki, wjechać któregoś do kotła?”,
powtarzały się dzień w dzień, ustawiliśmy sprawę po
swojemu. Któregoś razu kierownica gara przyciąg-
niętego przez suwnicę została przekrecona o dzie-
sięć stopni bardziej niż zwykle i pomarańczowożółta
stal zamiast do rozlewarek trafiła do piasku, iskrząc
jak w Boże Narodzenie. Wszyscy w promieniu dzie-
sięciu metrów rozbiegli się, skacząc jak nawiedzeni,
odpinając dymiące drelichy, gubiąc białe i czerwone
kaski, przeklinając, na czym świat stoi. Na szczęście,
nikomu nic się nie stało. Mimo to oczy tych z dołu,
tych, którzy upokorzeni naszym gorącym żartem,
naszą gorącą przestrogą, wyciągali z popiołu swój
drogocenny sprzęt, poprawiali na sobie drelichy –
oczy tych ludzi ściemniały. Ich ręce chwyciły za łopa-
ty i kilofy.